

Jak zdradziłem przyjaciół...

Autor: Jacek Józwiak

O tym, jak jawność i otwartość wędkarskich przygotowań w dobrym łowisku może odebrać dobry nastrój i radość z efektów połowu; tutaj o wydarzeniu z Narwi i o tym, jak ludność wyłowiła karpie, które nęciłem długo i... głupio.

Znajduje się czasami karpie w miejscach zupełnie niespodziewanych. A jeśli już się karpie zobaczy, szczególnie takie sobie świniaczki, trzeba uzbroić się w całą swoją karpiową wiedzę, doświadczenie, teorię i praktykę i łowić karpie niekoniecznie na karpiowych łowiskach.

Zwyczajne ryby - niespecjalnie podniecające karpiarza. Ot, wyprawa weekendowa z kolegami. Na nocne leszczyki i co tam się jeszcze złapie. Pół godziny od Warszawy, na dolnym odcinku Bugo-Narwii. Po lewej piętrowy most w Kazuniu, gdzie na parterze ciągną się pociągi, a pięterkiem zasuwiają auta. Po prawej wysoko sypana tama, odcinająca płynącą kilka lat temu łachę. Za plecami strome zbocze i chodniczek do nocnego sklepu w Nowym Dworze Mazowieckim. Życ, nie umierać, ale co to za życie dla karpiarza.

Gruntowe wędki zarzucone daleko, aż po wyspę. Przed wieczorem widać było leszczowe grzbiety na płyciznie po tamtej stronie. I leszcze są, dzwoneczek odzywa się co kilkanaście minut. Nieźle te leszcze - na makaron, koledze na glizdę wziął zaskakującej wielkości węgorz. A potem się pospaliśmy. Obudził mnie chłód. I wilgoć. Mglisto. I po chwili dopiero zrozumiałem, że oprócz fatalnych warunków atmosferycznych cos jeszcze było przyczyną ocknięcia...

Cmokały karpie. Nie widać ich było, skrywała je mgła. Ale to na pewno były karpie - już stałem na nogach. Ktoś, kto po 72 godziny siedział na karpiowych zasiadkach, tego odgłosu nie pomyli z innym.

Włazłem na chodniczek i przecinałem wzrokiem tę mgłę. Pociąłem ją chyba siłą woli. Postrzępiła się. I w wyrwach pokazały się grzbiety kilku świniaczków. Zna go każdy, kto był choć raz w warszawskich łaźniach. Każdego to ekscytuje. Ale to, co dzieje się z karpiarzem, jest nie do opisanie. Zostałem zaszczepiony przez to miejsce. Gra w kulki

Codziennie, rano i wieczorem, spalałem te 40 km benzyny w jedną stronę, czyli robiłem 120. kilometrową trasę. Przełaziłem po kamiennej tamce na wyspę, i z dwulitrowym wiadereczkiem włożyłem na płyciznę, na której one cmokały. W miejscu, w którym je widziałem, był lekki uskok dna - z głębokości po krok, robiła się woda po klatę. I dwumetrowej szerokości półka ciągnęła się przez 30 metrów. Na półce cieniutka warstwa lotnego mułu. I nieco zielonych, nitkowatych glonów. Muldowato.

Przechodziłem te 30 m po blaciku i "gubiłem" moje kulki. Dyskretnie, jakbym się chłodził, czy coś takiego. Na drugim brzegu, pod tą skarpą z chodniczkim siedzieli zawsze miejscowi. Zasięgałem języka - widzieli świniaczki, próbowali je łowić od wiosny. Nie brały na nic. Na nic, co im, tym świniaczkom, proponowali. Glizdy, kukurydzę, chlebowe gulały, kaszę manną. Podobno były jakieś brania, jakieś krótkie hole. Ale potem wszyscy przesiedli się na tamtą, głęboką stronę i katowali te leszcze i krąpiki.

Sam robię kulki, mój szwagier prasuje w serowarni na Hożej, więc mam stały dopływ kazeiny. Korzystam z kupowanych atraktorów i barwników - najbardziej lubię żółte kulki. Karpie też je lubią. Ale dla spokoju sumienia połowa była cynobrowa. Wszystko trącone dość obficie "tutti-frutti" i piernikowym olejkiem v. d. Eyndego.

Kilka razy znalazłem się nad wodą przed świtaniem. Ale ich już nie zobaczyłem. A były. Kulki miały 2,5 cm. Kiedy robiłem nawrót, czułem je gołą stopą. Po 12 godzinach nie było ich już. Leszcze, nawet te duże, chyba by się zadławiły. Nadzieja, daje karpiarzowi cierpliwość. Uwielbiam nęcić na płyciznach i własnymi stopami poznawać każdy kawałek mojego łowiska. Postanowiłem - będę nęcił dwa tygodnie. I nęciłem. Kulkami z zapasów. Biwak

Na wyprawę przygotowałem nowe kulki. Mamy starą suszarkę do grzybów z wentylatorkiem, więc przygotowanie trwało tylko kilka dni. Ograniczyłem się do kulek jednej barwy, oranżowej, a więc kompromisem między kolorami nęcenia. Za to aromatu dodałem tyle, że palce po dotknięciu przynęty pachniały ze trzy kwadransy.

Nie nęcę w dniu łowienia po długim, regularnym podsypywaniu. Za to zestawy przygotowuję w domu. Kilkanaście przyponów z dwiema dwucentymetrowymi kulkami na krótkim włosie. Ryby, które widziałem,

były duże, spokojnie będą mogły zassać taki smakołyk. Na ich mniejszych koleżkach mi nie zależało - te można sobie ciągać na specłowisku w Ossowie i nie potrzeba takich przygotowań. Na zestawie wianuszek z półtoracentymetrowych kulek na żyłce rozpuszczalnej.

Przypony długie na 40 cm. Plecionka Spider Wire, 20 funtowa. Na starych elektronicznych Elbasach upadłego ostatnio D.A.M.a ten sam gatunek linki, ale 30 funtowy. Świeże baterijki do kołowrotek - niech świecą i buczą, ile wlezie. Żadnych helikopterówek, żadnych raketokształtnych ciężarków ze skrzydełkami. Błat, po którym łąziłem rozpościera się 20 m od suchego łądu. Wystarczy krótka rurka antysplątaniowa z przypiętym 10 gramowym ciężarkiem. Jeśli tylko nie puszczą wody na zaporze w Dębem, to woda w łąsze będzie stała.

Namiot karpiowy - raczej wiatka, dwa fotele pozwalające się wyciągnąć. I żona - alibi dla gawiedzi. Nie męcę jej obowiązkowymi obecnościami na wyprawach w odludne miejsce, natomiast w łąwiska gęsto nawiedzane przez ludzi, zabieram ją zawsze. Odbija to sobie potem na obieraniu kartofli i innych takich. Poza tym lubi poczytać w plenerze.

Majdan rozłożyliśmy 50 metrów z boku. Nawet jak karpie są blisko brzegu, zawsze między wędkami a przynętą lubię mieć z 70 metrów. Było trochę po 6.00, kiedy oba kije - też starodawne 2,5 lbs Andy Little - leżały sobie na podpórkach. Nęciłem zawsze ok. 8.00 i 19.00. Jak się karpie przyzwyczajają przez kilkanaście dni, to są punktualne jak przedwojenne ekspresy.

Pierwszy pisk kilka minut po godzinie zero. Żona ściąga drugą wędkę. Nie dlatego, żebym bał się splątania zestawów - najbardziej boję się drugiego brania. Oszaleć wtedy można. karpiowa schizofrenia. Często traci się obie ryby, chcąc wyciągnąć obydwie. I często taka wariacja psuje przygotowane dużym nakładem kosztów i czasu przygotowane łąwisko.

Hol krótki, ale atrakcyjny. Szóstka. Wydawało mi się, że tamte były większe. Ale z przeciwnego brzegu patrzyłem, a to daleko. Jestem trochę rozczarowany. Kilkanaście kulek do wody, oba zestawy też...

Siedzieliśmy tam prawie 48 godzin. Złowiłem 9 karpie. Najmniejszy ok. 5 kg, największy 11.42. Cztery ponad 8. 2 golce, 6 lusztreni, jeden pełnołuski. Skąd one się tu wzięły w takiej mieszance?

Piękne miejsce. Ale przechlapane było już pierwszego dnia wieczorem. Konkurencja nie wlaźła nam na głowy tylko dlatego, że na wyprawach towarzyszy mi najlepszy przyjaciel karpia - suka rasy rottweiler z bardzo niemiłym spojrzeniem. I lata sobie luzem po łąwisku. Idealny sposób na regulaminowe odstępy.

Każdy karp wrócił do wody. Wypuszczaniu towarzyszyły gwizdy z drugiego brzegu. Sam nie wiem, czy dobrze zrobiłem, uwalniając te ryby za dnia, zaraz po zważeniu. Koledzy, którzy zabrali mnie kiedyś na te leszcze, bywają tam do teraz. Podobno przez blisko tydzień polowano tam na te karpie drygawicami, węcierzami, niewodem i prądem. Podobno złowiono kilkanaście dużych. Podobno największy miał piętnaście kilo. Padła też tołpyga pod 20. Kłusowano w biały dzień przy tłumach kibiców na chodniczku na skarpie.

I wówczas postanowiłem - pozostanę ze swoim hobby na łąwiskach znanych i uznanych za karpiove albo tak odległych od pospolitego skurwysyństwa, że nie będzie człowieka i przez tydzień. Nie będę swoich przyjaciół - karpie - wystawiał na spojrzenia hołocie.